

Anna Ziober
ul. Górecka 62
54-060 Wrocław

Wrocław, dnia 13 września 1989r.-

© ARCHIWUM WŚCISKOŃ

II/1696/1k

Tużaczka na Sybir - rozpacz i cierpienie.

Urodziłam się 27 września 1916r. w Zakoscielu k/Mościsk woj. lwowskie. Rodzicami moimi byli Michał i Salomea Nowakowscy. Miałam 9-ro rodzeństwa. W roku 1936 wyszłam zamąż za Jana Ziobra z sąsiedniej wsi Łaszkowice. W roku 1937 urodziłam córkę Stanisławę a w roku 1939 syna Jana.

Przed wybuchem wojny w 1939 r., mój mąż Jan został powołany na wojnę z której powrócił do domu dopiero w listopadzie. Zaraz po powrocie został przez NKWD aresztowany i uwięziony w Mościskach, a następnie we Lwowie w więzieniu "Trybicki", gdzie przez NKWD został zamordowany. W tym czasie władze sowieckie masowo aresztują Polaków. Więzienia są pełne. Aby bardziej zgębić naród polski, następują masowe wywożenia na Sybir. Nie ominęło to także i mnie, mego dziecka Janka oraz starych rodziców męża i jego młodsze rodzeństwo.

W kwietniu 1940r. o godzinie 2,30 w nocy NKWD bijąc kolbami karabinów w okna i drzwi zbudzili całą naszą rodzinę. Na oknami i drzwiami krzyczano "otwieraj drzwi bo strilaju". Gdy teś otworzył drzwi, zaraz do mieszkania z wielkim krzykiem wleciało kilku enkawudistów a z nimi wazedk sołtysa naszej wsi. Robili bardzo szczegółową rewizję, zaglądali w każdą szparę i kąty, widocznie patrzyli czy nie ma broni i powiedzieli: "skoro sobierajtes i ujeżdżaj". Na to nie było rady i prośba nie pomagała. Ja z małym dzieckiem trzęsłam się z rozpacz i strachu, że nie mogłam słów wypowiedzieć. Teściowa z bardzo oboląką nogą, bo miała rany tyłakowe, bracia i siostry mego męża były młode i płakali okropnie. Nie wiedziałam co mam zrobić ze sobą i z naleśnictwem, co zabrać i na jak długo nas biorą, czy jeszcze wrócimy czy nie. Teściowi kazano iść do stajni, gdzie poszedł z sołtysem i enkawudistami aby spisać co zostaje, konie, krowy i. t. d. Mieliśmy też 8 sztuk gusi-łabędzie, to kazano imy poukręcać i zabrać ze sobą, to ja miałam drewnianą wanienkę i tam złożyli te łabędzie i 1,5 kg. soli coś my mieli, daliśmy do wanienki. Na zebranie się i zabrać coś ze sobą, było tylko pół godziny. Po pół godziny tego zbierania się i tej rozpacz, udało nam się złapać tylko miskę, garnek, nóż, łyżki, coś z naczyń, z odzieży i pościeli i przy wrzaskach enkawudistów zostaliśmy

wypędzeni z domu na podwórze, gdzie zareślowano nas na oczekującą konną furmankę. Powiedziałam do jednego z enkawudistów że mam jeszcze córeczkę w drugiej wiosce i prosiłam żeby ja z dzieckiem mogłam zostać w domu, to ten odpowiedział: "tam budujesz twoja detyna i muś". Znowu zaczęłam płakać, bo tam zostaje moja dwuletnia córeczka a mnie z maleństwem na rękę zabierają na głody, poniewierkę i śmierć.

Z domu wzięto nas pod konwojem enkawudistów do najbliższej stacji kolejowej w Mościskach, oddalonej od domu kilka kilometrów. Wsadzili nas do wagonu śmierdzącego pokrytego kajkami końskimi. Gdy o naszym wyjeździe dowiedziała się moja mama i bracia, przyjechali na stację, chcieli podać mleka dla mnie aby piła i miała pokarm dla dziecka. Enkawudziści nie dopuścili nikogo do wagonu i matka nie mogła mi podać ani mleka ani żywności. Nie mogła także się zemną pożegnać. Rozpaczona mama z braćmi powróciła do domu. Te gęsi- zabędzie z wanienką i solą ruskie gady zabrali na stacji, widocznie byli bardzo głodni więc zabrali aby mnie ^{li} co krad.

W wagonie było nas osiem rodzin, było po 2 osoby, po 3 osoby, po 4, a nas było osiem. W wagonie były prycze, my byli na pryczy na górze, inni po drugiej stronie i na dole pod tymi pryczami i tak się wszyscy dusili na kupie. Kto sdał się z domu zabrać ze sobą kece czy pierzyny to miał na czym i podczym spać a kto nie, to spał na gołej brudnej podłodze wagonu. Tak się my wszyscy przez dwa tygodnie w wagonie męczyli. Wiedli nas w pozamykanych wagonach, raz na dzień enkawudziści odmykał drzwi wagonu i jedną osobę z wiaderkiem wyprawdzał po kipiłek t.j. po ciepłą wodę. Za swoją potrzebą było wiadro, to jedni drugich zasłaniali i tak się załatwiali. Pieluski wyprać nie miałam w czym, bo nie miałam ani miski ani wody, to jak maleństwo posiusiało się to pieluszkę wykręciłam i teściu suszył ją na gołych plecach. Gdy dziecko zrobiło kupkę raz na parę dni, to tylko wytrzepałam z pieluski. Dzieciatko było bardzo głodne, pokarmu w piersiach nie miałam bo byłam sama głodna, piersi mnie bardzo piekły, dziecko ciągnąć nie miało co, ono płakało i ja przy nim płakałam.

W wagonach górą były wąskie małe okienka, był piecyk belasny ale palić nie było czym, bo nie dali do palenia. Całą drogą jechaliśmy o głodzie i chłodzie. Jak wyjechaliśmy z Mościsk i dotarliśmy do Lwowa, to tam na stacji staliśmy bardzo długo. Przez okienko co było w górze wagonu, każdy chciał popatrzeć i też ja doszłam do okienka, patrzę, idzie koło wagonów staruszek i patrzy się po wagonach, a ludzie wołają za tym dziadkiem i każdy co o coś prosi, więc doszedł

do naszego wagonu i ja zawołałam do tego dziadka i proszę go, dziadziu, dziadziu, dziadzio bądźcie tak dobry, tu blisko stacji na ul. Boularda mieszka mój brat nazywa się Grzegorz Nowakowski, niech dziadzio pójdzie do niego i powie mojemu bratu, że Mania jego siostra z dzieckiem i teściami jedzie na Sybir, czy może na zagładę, że ja bardzo proszę aby mój brat przyszedł do mnie do wagonu. Dziadek kiwnął głową, dobrze, dobrze dziecko, powiem, ale ja patrzę dziadek poszedł dalej obok wagonów i zagląda wszędzie i pomyślałam sobie że nie z tego nie będzie. Aż tu za jaką godzinę jedna pani była przy okienku /bo myśmy się tak umówili/ każdy jakby się chciał poświęcić za swoją Ojczyznę, więc na zmianę wyglądali i panik ta woła do mnie, Mania, Grzesko twój brat jest tu, ja podbiegłam do okienka patrzę, tak mój kochany brat, przyniósł mi pełną torbę do jedzenia, cukru, chleba, bułki i co miał to mi dał i też pół litra wódki Byszewskiego, powiedział to ci się tam przyda i jeszcze powiedział zegnaj, a ja jeszcze coś kupię to ci zaraz przyniosę. Ale zaraz po jego odejściu za jakieś pół godziny odjechaliśmy dalej i więcej z Grzeskiem nie widziałam się. Napewno Grzesz jeszcze przyszedł, ale nie zastał nas, mówiłam i zawsze mówię będą że ten dziadek był sam Pan Bóg, bo wierzyć się nie chce, adresu nie zapisał, pokłuszył głowę i tylko powiedział: dobrze, dobrze powiem. Z bratem Grzeskiem już nigdy się nie zobaczyłam, gdyż jako żołnierz Armii Krajowej został w 1944 roku aresztowany i zesłany na Sybir do Łagrów.

Po dwóch tygodniach jazdy pociągami, zmarznięci, głodni, wynępczeni długą uciążliwą podróżą odjechaliśmy do stacji Kustanaja a z Kustanaja samochodami ciężarowymi zawieźli nas do kołchozu w Sewastopolu oddalonego od Kustanaja ponad 200 km. Tu siedzieliśmy jeszcze ze dwie godziny na samochodach i tak my marali, bo było jeszcze dużo śniegu. Po paru godzinach, szkieł dali nas na kwaterę do gospodarza, tam był jeden pokój, ich było pięcioro, oni spali na piecu i przy piecu mieli jeszcze do spania przyce, tam się tak gniaździli, a my ośmioro spali na ziemi, cośmy ze sobą zabrali z domu polski i odzież, tośmy na tym leżeli i tym się okrywali. Jednego dnia dziecko moje posusiało na pierzynę i ja wyniosłam pierzynę na parcie by wyschła i w tym czasie ktoś wypuścił świnia, ta świnia rozdarła mi tę pierzynę i wszystko pierze roaleciało się, płakałam okropnie bo nie miałam więcej pierzyny, by się z tym dzieckiem otulić.

W siemiance tej podłóg z desek nie było, więc spaliliśmy na gołej ziemi a siemianka była w ziemi i ziemia kryta.

W tej ziemiance byliśmy parę miesięcy i poszliśmy mieszkać do innej ziemianki i tam także byliśmy tylko parę miesięcy, bo nikt nie chciał nas trzymać tak dużą rodziną. Za mieszkanie płaciliśmy odzieżą, którą przywieźliśmy ze sobą z domu. Dopiero gdy nam gospodarz pozwolił na wybudowanie własnej ziemianki, to też zbudował taką małą komórkę a była tak mała że na podłodze ósmioro nas ledwo myślny się mieścili a w czasie spania nie można się było nawet obrócić. W tej ziemiance też postawił też piec małecki taki jak chleb się piecze, miejscowi wszyscy mieli takie piece, w piecu paliło się łajnem krowskim i w ten żar widełkami stawiało się garnek żelazny z pokrywą żelazną, jedzenie waniało łajnem. Ta ziemianka była bardzo mała, tak że nie mogliśmy się ponieść i w tej ziemiance byliśmy przez całą zimę.

W pewnym czasie z kołchozu wyjeżdżali Tarnopolscy do Uricka, tam go wysłano i tam dali im mieszkanie i tam został przedstawicielem, a tą ziemianką co mieszkali, odstąpili nam i tam do końca mieszkaliśmy. Stamtąd został zabrany do wojska brat mego męża Franek, był w Armii Andersa, zginął we Włoszech i jest pochowany na cmentarzu w Loretto. Następnie została zabrana do wojska siostra mego męża Marysia, która była w Armii Berlinga. Przeszła cały szlak frontowy i obecnie mieszka w Tarnowie.

W 1940 roku w m-cu listopadzie były tam ciężkie mrozy i śniegi, synek mój zachorował na odrę, cały był w wysypce, przeziębik się i na szyjce wystąpił duży guz, to go udusiło, lekarzy na oczy nie widziałam, nie wiem czy i byli jacy lekarze, rady na to nie miałam. Synek mój urodził się w 1939r., 13 listopada i w 1940r. 13 listopada o 11-ej w nocy skończył życie tużacze. Pochowaliśmy go na stepie, ponad dwa metry kopaliśmy śnieg i pół metra ziemię, bo inaczej się nie dało, pochowałam to dzieciątko kochane które tak tuliłam, pochowałam to dziecko w skrzyneczce, którą miałam z domu zabraną bo w niej miałam ułożoną odzież, bo gdyby nie ta skrzyneczka to musiałabym pochować to dziecko w kocyk owinięte. Wiosną na grobku dziecka postawiłam krzyż z brzozy a po kilku dniach ktoś go skradł na opał. Postawiłam drugi krzyż i też ktoś go skradł bo nie było tam lasów, nie było czym palić, więc kradli nawet i krzyże. I tak moje kochane dziecko leży gdzieś w stepach na dalekiej Syberii.

Jak przywieziono nas na Sybir, to w pierwszym roku do roboty nas nie przyjęli, a w Selsowiccie powiedziano nam "wy wrahi, jak by nie wrahi, tob was by zdieś nie przywiezli, niet raboty dla was". Byliśmy w strasnym głodzie, też i teściowa byli starzi, ich dzieci